

FAK MAJ LAJF



Marcin Kącki

FAK MAJ LAJF

**znak** *litera*  
*nova*

Kraków 2017

Copyright © by Marcin Kącki

Projekt okładki  
Tomek Budzyń, tomekbu.com

Redakcja  
Karolina Macios

Opieka redakcyjna  
Ewa Bolińska  
Anna Steć

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku  
DreamTeam

ISBN 978-83-240-3802-2

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)  
Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)  
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak  
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków  
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Wydanie I, Kraków 2017

Nikt i wszyscy ponoszą winę za fakt, że telewizja zawłaszczyła bunt i cynizm jako hipsterskie *imago populi* wyżu demograficznego. Żniwo okazało się jednak ponure: formy naszej najlepszej zbuntowanej sztuki skarłały w zwykłe gesty i sztuczki, nie tylko sterylne, ale też perwersyjnie uzależniające.

D.F. Wallace, *E Unibus Pluram*.  
*Telewizja a fikcja amerykańska*, tłum. Jolanta Kozak

Pytaniem nie jest, co chcemy wiedzieć o ludziach, ale co ludzie chcą powiedzieć o sobie.

M. Zuckerberg, założyciel Facebooka

Zachowanie »News of the World« było sprzeczne z wszystkim, w co wierzę ja i mój syn.

R. Murdoch, właściciel brukowca, podczas przesłuchania przed specjalną komisją brytyjskiego parlamentu

Kłamaliśmy rano i wieczorem.

F. Gyurcsány, premier rządu węgierskiego



## Ene...

Papa zajrzał w okular aparatu jak w szczelinę drzwi damskiej szatni. Zachichotał, oblizał wargi, pstryknął. Kropla potu popędziła przez jego skroń w gąszcz bokobrodów. Siedzieli w samochodzie od godziny. Młody, umoszczony na tylnym siedzeniu, wśród pożółkłych gazet, kawałków suchej pizzy i kubków po kawie, spoglądał na przerzedzone, tłuste włosy Papy, związane na potylicy w cienki ogonek. Patrzył też na koniuszek języka, który wysuwał się z ust paparazzi, gdy wystający z okna samochodu jak lufa snajpera obiektyw uchwycił cel. Młody opuścił swoją szybę, ale przeciąg nie zawitał. Papa uznał, że włączanie klimatyzacji, gdy okna służą za otwory strzelnicze, nie ma sensu. Ulica pachniała nagrzanym asfaltem, spaliniakami, kolekcjami perfum z dominującą nutą cytryny, jedzeniem donoszonym przez kelnerów do restauracyjnych ogródków, uryną z bezbronnych, pozbawionych domofonów bram i nieustannym oczekiwaniem, by zbliżająca się noc była inna niż wszystkie. Obiektyw omiatał fasadę restauracji naprzeciw ich zaparkowanego auta. Celebryci wychodzili na papierosa, znużeni bankietem z okazji jubileuszu jakiejś firmy kosmetycznej.

– A tamten? W niebieskich butach? – Młody wskazał podbródkiem.

- Eeee tam... – jęknął Papa.
- Ten obok? W chuście.
- Stylista. Rok temu... ooo, może i ze dwa koła...
- Czemu potaniał?
- Stracił program w telewizji, jest nikim.
- A tamta? Z tym czymś na głowie?
- Wawrzyniecka. Ze dwa, może trzy koła. Kręci z tym w płaszczu, co stoi obok, widzisz?
- No, a kto to?
- Król pomidorów, tych małych, koktajlowych.

Papa zdjął palec ze spustu aparatu i przyciskiem podniósł szybę, by odpowiednio dociskała obiektyw. Przeciągnął się jak niedźwiedź, napierając dłonią na sufit samochodu. Nie spuszczać wzroku ze zwierzyny, wymacał w kieszeni czarnej skórzanej kamizelki paczkę papierosów.

– Znaczy, że jakiś ogrodnik? – spytał Młody, pochylając się do przodu, by mokra od potu koszulka odkleiła się od tapicerki fotela.

Papa parsknął.

– Ma dom jak stadion. Raz się w nim zgubił po pijaku i wzywał ochronę, żeby go zanieśli do łóżka. Ale ważniejsze... – podniósł palec wskazujący i środkowy, między którymi dygotał papieros – ...że kręci z panią nauczycielką. – Nachylił się do aparatu i pstryknął.

Młody spojrział przez szybę. Wawrzyniecka, wysoka blondynka, około trzydziestopięcioletnia, ubrana w białą, zwiewną sukienkę, przypominającą halkę, witała się z jakimś facetem, który dyskretnie położył rękę na jej pośladku, poza zasięgiem wzroku króla pomidorów. Papa oblizał dolną wargę, pstryknął, spojrział na wyświetlacz aparatu.

– Uuu... mocne! – zachichotał.



– Nauczycielka? – Młody wyjął spod pośladek stary numer „Tylko Życie”, zerknął na tytuł nagłówka wybity żółtą, drżącą czcionką: *Groza! Wrzuciła do pralki swoje dziecko!*

– No gra tą... – Papa zmarszczył brwi – z tego, no... a pieprzą mi się te seriale!

– Pamiętam, że była żoną leśniczego w „Zielonej Dolinie”. Oglądałem to ze starymi, szła tam taka piosenka:

„tylko promień słońca daje znać  
tylko szelest liści  
Zieloną Doliną idę w dal  
by twe serce skraść...”

– Ona miała wtedy trzydziecę. – Papa wypuścił dym przez szparę w oknie.

– Teraz na tyle wygląda.

– W zbliżeniu widać jej szwy za uszami.

– Ma jakiś program?

– Nie, ale gra tę nauczycielkę trzeci sezon.

– Wygrała też ten... *Sambę na żywo*, nie?

– Nie. Wygrała pogodynka. Wawrzyniecka była trzecia, za nianią od tego kucharza.

– Miała romans z tancerzem, nie?

– Nie. Z kucharzem.

– Ale Wawrzyniecka...

– Ano tak. Z tym Chińczykiem. Rzuciła dla niego męża, producenta, a jak chciała wrócić, to mąż był już z tą, no, ze stewardesą z *Życia nad chmurami* – Papa przyłożył oko do aparatu.

– *Podniebne życie* – Młody uśmiechnął się, zadowolony, że nadażył.

– O, widzę, że młodzież siedzi przed telewizorem.

– Nie, na fejsie czytałem. A tamta w skórze? To chyba Wiśnia, nie? – Młody popukał w szybę, gdy po schodach

restauracji schodziła ruda serialowa piękność w skórzanej, obcisłej, czerwonej spódnicy.

– Uuu, fota jej cycków i żyłbym z odsetek od odsetek.

– A tamten? W białej koszulce? – Młody skinął głową na wysokiego bruneta o chłopięcej twarzy, który śmiał się głośno, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę towarzystwa.

Papa przesunął obiektyw. Wyciągnął telefon z kieszeni kamizelki i wybrał numer. Zobaczył, jak brunet sięga do kieszeni spodni.

– Fifi? Widzisz schody? Dandys.

Fifi, czyli brunet o chłopięcej twarzy, jak zauważył Młody, przestał się śmiać i odwrócił się w kierunku schodów, trzymając komórkę przy uchu.

– No właśnie – dodał Papa i rozłączył się. Opuścił szybę z elektrycznym szumem, a aparat położył na dłoni. Głaskał palcem spust migawki jak cyngiel.

Fifi podchodził już do szpakowatego, gładko ogolonego faceta, pewnie koło pięćdziesiątki, ale nadrabiającego zapiętą na jeden guzik, obcisłą, czarną skórzaną marynarką, spod której wystawał biały T-shirt. Wpuszczone w skórzane oficerki białe spodnie nie nosiły nawet śladu wypchania na kolanach. Dandys trzymał w dłoni cienką, białą laskę, która nie pełniła funkcji inwalidzkiej podpórki, tylko, jak sądził Młody, miała dopełniać obrazu. Mężczyzna podniósł ją, opierając zalotnie o Fifi. Roześmiali się jak starzy kumple. Obok nich zatrzymał się Fercz, krytyk filmowy. Młody pamiętał go z telewizji, z dawnych czasów, gdy jego ojciec podejrzewał krytyka o homoseksualizm, choć akurat tego słowa Młody nigdy z ust staroego nie usłyszał.

– To przecież p-edał! – parskał ojciec, gdy siedzieli przed telewizorem w każdą niedzielę, a Fercz omawiał filmy krótkim

wstępem. „P” strzelało z ust ojca i gdyby mogło się materializować, trafiałoby w telewizor, tłukąc kineskop. Matka, która przed sekundą zachwalała starannie przyciętą bródkę krytyka, czekała, aż stary rozprawi się z „p-edalem”, a potem podejmowała wątek estetyki i higieny.

– Jak mężczyzna przycina brodę, to od razu musi być...?

– Ale co ty mi, kobieto! – Ojciec przerywał i wykrzykiwał usta, jakby mówiła o odchodach. – On ma tę bródkę wylizaną jak dupa suki. A jeszcze ta apaszka! Kto, kurwa, normalny, że tak powiem, chodzi w apaszce? I jeszcze do telewizji! Ano żeby inne pedały widziały! Oni się po tym poznają!

– Nie przy dziecku – mówiła matka, a ojciec strzelał:

– P-edają...

Najbardziej lubili z ojcem oglądać westerny. Przy pojedynkach rewolwerowców stary pochylał się w fotelu, obstawiając, który padnie, a gdy trafił, walił ręką w oparcie, krzycząc:

– A nie mówiłem, kurwa?!

Po latach ciężko przyjmował komunikaty matki, która siedząc przed komputerem i wykorzystując powszechną dostępność informacji z internetu, niby od niechcienia, acz z satysfakcją, relacjonowała coming out homoseksualnych aktorów amerykańskich, grających przed laty w oglądanych przez nich filmach. Ojciec pocierał wtedy nos, brał gazetę i zamykał się w kiblu, by przeżywać intymnie swoją małą tragedię. Gdy matka wyczytywała obsadę ulubionego westernu, demaskując połowę jako homoseksualistów, lesbijki, bi, trans, nie wyłączając reżysera, ojciec dostawał sraczkę. Wychodził z kibla ze zwiniętą w rulon gazetą telewizyjną, podnosił ją do góry, stukając w powietrze, i przez zaciśnięte zęby syczał:

– Dlatego ten p-edal podsuwał nam łęssterny!

Matka, zaciągając z internetu najbardziej, zdaniem ojca, podle plotki, wzięła się za kryminały, francuskie filmy noir, dochodząc do musicali, których i tak nie lubił, uznając wszystkich śpiewaków za pederastów, a kończyła na filmach niemych. Stary ryczał wtedy z kibla:

– Tylko mi nie mów, że Czaplin też!

– Potrzyмай. – Papa podał Młodemu obiektyw, korpus aparatu położył na przednim siedzeniu pasażera. Otworzył drzwi, zgrzytnął bagażnik. Po chwili przykręcił do aparatu jeszcze dłuższy, grubszy obiektyw i wystawił go przez okno.

– Co robią? – spytał Młody. Było już szaro. Widział tylko kontury sylwetki Fifi, Dandysa i krytyka, którzy szli w kierunku sąsiedniej kawiarni, z wypełnionym po brzegi ogródkiem.

– Gadają – wycedził Papa, trzymając oko przy aparacie i raz po raz wciskając spust migawki. – No co! – ryknął, bo tuż przed nimi stanął nieznany Młodemu mężczyzna.

– Co tam? – spytał mężczyzna, klepiąc w dach jak w ladę kiosku. Koło czterdziestki, ubrany był w zieloną myśliwską kamizelkę i koszulę w kratę, z rękawami podwiniętymi za łokcie. Trzymał w dłoni profesjonalny aparat fotograficzny. Obrócił głowę tam, gdzie celował obiektyw Papy, i zagwizdał z uznaniem.

– Spuściłeś Fifi ze smyczy, stary, cwany chuju!

Papa coś wymruczał, podniósł głowę i spojrzał przez okno, upewniając się, że obraz z obiektywu go nie myli. Westchnął:

– Znikli... Co tam, Wafel! Słyszałem, że zrobiłeś dzieciaka Przytulnej. Ile dali?

– Dychę. – Mężczyzna oparł się o drzwi auta, wcisnął głowę do środka, spojrzał na Młodego. – Uczeń?

– Kiedyś cię trafią za ten kitel – prychnął Papa, wyciągając z paczki papierosa. Wafel roześmiał się, klepnął w dach i odszedł.

Papa odpalił silnik. Jedną dłonią, z dymiącym między palcami papierosem, trzymał kierownicę, drugą telefon przy uchu.

– Gdzie jesteś? Przytrzymaj go, zaraz będę – rzucił i rozłączył się.

– Co z tym kitlem? – spytał Młody, bawiąc się leżącym na kolanach obiektywem.

– Chodzi w nim po szpitalach.

– Po co?

– Pielęgniarki dają mu cynk: kto, kiedy, w którym pokoju, a on przyłazi i nakłada kitel lekarski. Ostatnio upolował bacchora Przytulnej, tej... z tego, no... No chrzanią mi się te seriale! Poszła do prywatnej kliniki, wzięła jedynekę, opłaciła cały personel, żeby byli cicho, a tu włazi Wafel, robi fotę, piguły mordę drą, że łapać gnoja, a on chodu.

– Najpierw dzwonią, potem wyrzucają?

– A jak! Wafel czeka pod szpitalem i odpala pigułom dołę.

– Mówiłeś, że dzieci nie robicie.

– Zamazuje się w druku, ale tu idzie o matkę. Lud chce zobaczyć styraną, zapuchniętą po porodzie gwiazdę. Są! – Papa zatrzymał auto przy krawężniku.

Fifi, Fercz i Dandys siedzieli przy ogródkowym stoliku restauracji Drama. Fifi tanecznie gestykułował, Dandys się śmiał, a Fercz popijał drinka.

– No dalej! – Papa niecierpliwie spoglądał przez obiektyw, który zawisł między szybą a belką drzwi. Dramę rozświetlały dyskretne, ale mocne lampki ustawione wzdłuż kwietników. Lekko zawiało. Młody poczuł smród od Papy, jakby ten nie mył się kilka dni, ale gorzej śmierdziała tapicerka – słodkawym, mdławym, trudnym do zidentyfikowania zapachem, o którym paparazzi nie chciał mówić.

Pierwszy podwinął mankiet marynarki i koszuli, odsłaniając tenisową frotkę. Spojrzał na zegarek. Opuścił rękę wzdłuż oparcia skórzanego, wygodnego fotela.

– Panowie, jakieś pomysły? – spytał, ledwo powstrzymując ziewnięcie.

Jako jedyny siedział w dużym fotelu, za błyszczącym od polerki mahoniowym stołem, w którym odbijały się wielkie okna kancelarii rady ministrów, światła ulicy i twarze jego doradców. Ci przysiedli czujnie na krawędziach ustawionych w półkole, twardych drewnianych krzeseł, gotowi, by ochoczo przytaknąć lub stanowczo zaprzeczyć, zgodnie z oczekiwaniem szefa.

Trzeźwy, siedząc tuż obok Pierwszego, po lewej, zgodnie z porządkiem w hierarchii, jako najbardziej zaufany doradca medialny i rzecznik rządu, wiedział, co interesowało szefa – nie precyzyjna odpowiedź, tylko komunikat, że sprawa zostanie załatwiona, a on ze swoją frotką stawi się za chwilę na korcie. Drugi, szef kancelarii premiera, siedział po prawej i przecierał okulary jedwabną szmatką, którą wyjął z butonierki. Chwilę wcześniej pozakreślał kółka na pierwszej stronie gazety leżącej teraz na stole, zwiniętej z furją w kulę, bo Pierwszy, jak zwykle, nie był w stanie dokończyć lektury na spokojnie, gdy informacje były mu nieprzychylne. Drugi sięgnął po kulkę, pieczołowicie ją rozprostował, dając gazecie drugie życie, i przesadnie wysokim tonem zakomunikował:

– Trzeba znaleźć odpowiedzialnego.

Pierwszy odchylił głowę, nabrał powietrza, wysyłając kolejny sygnał zniecierpliwienia.

– Kto? – spytał, patrząc w sufit, jakby miał tam zobaczyć nazwisko.

Pod stołem zaszurały buty, zaszeleściły garnitury, gdy doradcy przyjmowali pozycje obronne. Trzeźwy wiedział, o kim

myślą, ale milczał, bo waga jego pozycji w oczach premiera nie wymagała żadnego komentarza ani tym bardziej obrony.

– Trzeźwy? – spytał nieoczekiwanie Pierwszy, kręcąc frotką.

– Błąd popełniło biuro organizacyjne – odparł, widząc w wyobraźni, jak myśli doradców spotykają się gdzieś nad stołem, w komiksowej chmurce dialogowej z napisem „A TO KUTAS!”.

Pierwszy wstał.

– No i dobra. Jutro chcę widzieć komunikat. – Odwrócił się i wyszedł z gabinetu, a Drugi pobiegł za nim.

Trzeźwy zjechał do kancelaryjnej stołówki. Przysiadł się do Buldoga, jedyne gościa na sali, siedzącego przy stoliku dla dwóch osób, i zamówił makaron w sosie kurkowym.

– Zaraz dostaniesz odpowiedź – rzucił mu, bo ten od rana zarzucał go esemesami.

– Ooo... – Buldog zamlaskał, gdy kawałki mięsa znikwały mu w gębie.

Nie jadł, pożerał, myślał Trzeźwy. Grubas o krótkich, tłustych paluszkach, z wielką jak śruba złotą obrączką na serdecznym palcu. Trzeźwy wyobraził sobie, jak tym palcem drażni łąchaczkę filigranowej, niemal małoletniej prostytutki, wyciągając na wierzch język: „Tak malutka, tak, chodź do tatusia”. Każdego grubasa podejrzewał o hedonizm hodowany latami pod grubą tkanką tłuszczową, zamykającą dostęp do naturalnej drogi podboju, jaką jest taniec godowy sportowej sylwetki, oraz żywioną kompleksami i wstydem perwersję, która wypełzała spod tłuszczu, gdy wchodził taki w dorosłość. Znali się od studiów, gdy w wynajmowanym mieszkaniu przyjmowali koleżanki. Buldog zawsze brał te malutkie, by ze swojego pokoju jęczeć: „Chodź do wielkiego misia”.

– Co? – Buldog spojrzał na swoje palce, na które Trzeźwy patrzył, jakby miały brud za paznokciami.

Podeszła do nich dziewczyna z wydziału organizacyjnego. Jasnyniebieska garsonka dodawała jej lekkości, podobnie jak szczupłe łydki i wąskie biodra, a przez piegi na twarzy wyglądała trochę dziecinnie. Ścisnęła w dłoni gruby rozdzielnik.

– Cześć, Buldog – rzuciła, a on poderwał się, by dostawić krzesło.

Położyła przed sobą rozdzielnik i wyjęła długopis, a Trzeźwy oparł widelec o brzeg talerza i splótł ręce pod brodą.

– Magda... Jest nowe wyzwanie.

Dziewczyna wypchała językiem policzek. Buldog zauważył, że oczy jej wilgotnieją, ale łzy nie popłynęły. Trzeźwy podniósł do góry palec wskazujący, który powstrzymał jej otwarte, gotowe do obrony usta.

– Dostajesz pięć stów podwyżki, idziesz do ministerstwa infrastruktury, temat zamykamy. – Wziął do ręki widelec i nakręcił makaron. Żuł, patrząc jej prosto w oczy.

Dziewczyna pokiwała głową, po czym wstała, podniosła rozdzielnik i odeszła.

Buldog łypał na niego o sekundę za długo.

– Co? – Trzeźwy spojrzał na kolegę, chwycił serwetkę, lekko wytarł usta.

– Dlaczego przy mnie?

– Poleciała, bo mam na głowie zbyt wiele obowiązków, by pamiętać o wszystkim. Ten przywilej dotyczy każdego, kto ma podwładnych, zwłaszcza tu – Trzeźwy stukał palcem w stół – w miejscu, gdzie media każdego dnia oczekują czyjejś dymisji. Dlatego, gdy zajmiesz jej miejsce, nie bierz od razu kredytu na trzydzieści lat. – Wytarł usta i wstał.

Buldog poszedł za nim, patrząc przez okno na parking. Jutro skończą się jego męki – departament organizacyjny stoi wyżej od prezydyjnego. Każdego ranka Buldog szukał wolnego



miejsca, a parkowanie dalej niż sto metrów od furty dziedzińca kancelarii oznaczało dla niego – przy nadmiarowych pięćdziesięciu kilogramach – wysiłek odbierający oddech i dobry nastrój na resztę dnia. Pewnie dostanie kopertę i klucz elektroniczny po Magdzie, tylko zdejmą z niego jej nalepkę, a przykleją Buldogową facjatę.

Trzeźwy rozsiadł się w samochodzie. Buldog niedługo doceni, pomyślał, dzisiejszą lekcję. Takie rozstania stanowią o porządku w kancelarii utrzymywanym na zasadzie odpowiedzialności pionowej, kiedy to kara schodzi zawsze bardzo szybko i nisko, szorując do dna, a nagrody pną się do góry powoli i skromnie, jak cieniutkie chwytaki pnący szukających oparcia jak najbliżej blasku słońca. W administracji publicznej decyzje kadrowe zapadają natychmiast, by dokarmiać media regularnie, niczym w hodowli dzikich zwierząt. Trzeźwy nie mógł jednak rzucić siebie samego na pożarcie. Nie ze względu na chęć ucieczki przed odpowiedzialnością, ale by oddalić od Pierwszego niebezpieczeństwo pokąsania, bo im bliżej gabinetu premiera, tym bardziej staje się to prawdopodobne. Najlepiej więc, gdy dziennikarze grasują na niższych piętrach, wśród personelu pomocniczego. Drobną wpadką, jak ta z komunikatem, który to Trzeźwy omyłkowo polecił wysłać mediom, a który był przeciwieństwem tego programu rządowego, zostanie wyciszona komunikatem o „wyciągnięciu konsekwencji wobec osób zatrudnionych na szczeblu organizacyjnym”. To nie dziewczyna popełniła błąd, ale Trzeźwy wybrał ją nieprzypadkowo. Była zbyt skromna, by robić szum ze swojego niesłusznego jak cholera zwolnienia, i nie miała w kancelarii przyjaciół, więc nie należała do koterii korytarzowej. Była za to pracowitą mrówką, która wyznacza sobie cel, ale, jak sądził Trzeźwy, w służbie publicznej celu tego nie osiągnie, bo

stanowi doskonały materiał na kozła ofiarnego. No chyba że znajdzie sobie patrona.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Podniósł do ucha komórkę i zjechał na pobocze.

– Mogę – powiedział. – Pasuje. Do zobaczenia.

Kiedy minął szlaban strzeżonego osiedla, znalazł wolne miejsce wyjątkowo blisko, zważywszy na popołudniową porę, swojej klatki schodowej. Wszedł do mieszkania, poluzował krawat. Dwupokojowy mały lokal, jak nazywał wynajęte przez kancelarię mieszkanie, miał białe ściany i kilka mebli, nie było tam żadnych osobistych bibelotów. Według niego wynajmowane mieszkania nie nadawały się do znakowania elementami życia osobistego. Za własne pieniądze kupił tylko aluminiowy, mocny stelaż do zastosowań piwnicznych, na którego półkach ustawił trzy płaskie telewizory, jeden pod drugim. Jeśli kolejna stacja telewizyjna otworzy całodobowy kanał informacyjny, dokupi kolejną półkę i telewizor, by na bieżąco śledzić „paski”. Trzema pilotami włączył trzy ekrany. W dwóch telewizorach wyciszył dźwięk i poszedł do kuchni. Wyjął z lodówki oszronioną butelkę wody i przyłożył ją do policzka. Słuchał z zamkniętymi oczami.

– Czy to oznacza, że głosowanie może zostać odłożone? – pytała dziennikarka.

– Nie. Ustawa już jest umieszczona w porządku obrad. Musi zostać poddana pod głosowanie... – odpowiadał poseł Białek, z którym Trzeźwy rozmawiał przez telefon w samochodzie.

Trzeźwy podszedł do telewizora. Mowa była o ustawie o związkach partnerskich, którą rząd nagle wyjął z zamrażarki legislacyjnej i rzucił na targowisko klubów parlamentarnych, oczekując ofert lewicy, bo ta obiecała poparcie w zamian za posady w spółkach Skarbu Państwa, oraz prawicy domagającej

się odrzucenia tej ustawy za poparcie innych, wobec których miała wcześniej strategiczne zastrzeżenia. Trzeźwy nie znał przyczyn odmrożenia projektu i obawiał się, że stoi za tym nie jakaś chłodna kalkulacja, ale nieznanym mu afekt. Sam nie potrafił go przejrzeć, a nikt z najbliższego otoczenia premiera nie chciał go wtajemniczyć. Włączył fonię w następnym telewizorze. Prezenterka wiadomości sportowych z obfitym, odsłoniętym do połowy biustem relacjonowała zawody, szeroko otwierając pokryte mocnym karminem usta. Próbował słuchać, o czym mówi, ale oczy przekazywały do mózgu tylko jeden komunikat, który między dwiema półkulami zamieniał się w pragnienie poznania odpowiedzi na pytanie o rozmiar jej cyców. Zastanawiał się, czy gdyby dziennikarki polityczne występowały na wizji z prawie gołymi piersiami, to mężczyźni siedzący przed telewizorami również nie zwracaliby uwagi na przekaz. To mogłoby w pewien sposób wpływać na sympatie polityczne, jako że kobiety głosują na rozsądnych, zrównoważonych kandydatów, gdyż od takich, podobnie jak od swoich mężów, oczekują poczucia bezpieczeństwa. Zakałała się mężczyźni głosujący emocjonalnie na tych, w których doszukują się potwierdzenia własnych, choćby najbardziej idiotycznych, przekonań. Trzeźwy zakodował, by spytać jednego ze znajomych socjologów, czy możliwe jest, by cycata prezenterka, łagodna dla swojego rozmówcy, spowodowała, że jego obraz w oczach widzów facetów również będzie łagodny. Włączył fonię w trzecim telewizorze, odstawił szklanę na stół. O, to lubił.

– Ale to ja pana pytam! Gdzie byliście, gdy trzy lata temu złożyliśmy w sejmie projekt podobnej ustawy?! – krzyczał w studiu polityk opozycyjnej partii lewicowej, a jego palec celował w rozmówcę.

– Pan mi nie będzie robił wykładów z moralności! Do PZPR! Z powrotem! – Polityk partii rządzącej prawie unosił się nad fotelem, trzymając się jedynie za poręcze.

– Co za chamstwo! No z takim chamstwem... – cedził polityk lewicy.

Trzeźwy patrzył na zegarek. Redaktor Kolasiński, prowadzący program *Rozmowy polityczne*, przerwał pojedynek dopiero po dwóch minutach. Słusznie, jak uznał Trzeźwy, bo wtedy już telewizywnie zdążyli przywołać członków swojej rodziny, rechocząc: „Pa, jak się napierdalają”, i windując tym samym słupki oglądalności, a więc i dając nadzieję na jeszcze większy ich wzrost w kolejnych badaniach. Ledwie kilka lat wcześniej prowadzący przerywali takie pojedynki szybciej, ale było to w czasach, gdy standardy dziennikarskie nie stanowiły balastu dla mediów tradycyjnych pikujących ostrym lotem w kierunku gruntu. Z tego to poziomu lot wznoszący rozpoczynały wtedy portale internetowe, w których nikt nie udaje, że polityka nie jest elementem wojny, o nieco tylko mniejszej klikalności niż pornografia.

– Panowie, jesteście gośćmi, nie zaprosiłem was... – redaktor Kolasiński usiłował przerwać zwanie, zdradzając fałsz swoich słów ironicznym uśmiechem.

Trzeźwy zaśmiał się na wspomnienie nagrania z reżyserki telewizyjnej tego programu, które wyciekło kiedyś do internetu: „Daj im powalczyć! Nie przerywaj, niech się gryzą, jeszcze chwila! Jeszcze chwila! Poczekaj, niech się gryżą!”.

– Dalej! Bierz go! Zeżryj! – zawarczał w ekran. Usiadł na sofie, wyciągając nogi. Skoro telewizje zapraszały tego wieczoru polityków o fanatycznie przeciwnych poglądach, oznaczało to, że były zmuszone wywołać sztuczną wojnę, co z kolei było równoznaczne z tym, że nie działo się nic, a więc Trzeźwy

mógł choć na chwilę poluzować swoją czujność. Przeleciał po wszystkich paskach informacyjnych. Jeden go rozśmieszył: „Rolnik przygnieciony przez ciągnik”. Gdy jeszcze na studiach odbywał staż w biurze komunikacji Ministerstwa Rolnictwa, przygotowywał statystykę wypadków na wsi. W rubryce „maszyny” wpisał omyłkowo, do dziś nie rozumując dlaczego, „bydło”. Kilka dnia później „Tylko Życie”, brukowiec lubujący się w krwistych opisach, dał tytuł: *Krowy mordercy zabiły trzynastu rolników*. Zadzwoił tam, co prawda prostując i przepraszając za pomyłkę, ale go zignorowano. W kolejnych dniach, zainspirowany bydłem, brukowiec odnotował, że *Koza zabiła swojego pana!*, *Pies zabójca zagryzł rolnika!*, *Rolnika porwał rój wściekłych pszczół!* Trzeźwy przypadkowo stał się zatem kreatorem dwutygodniowej sagi o perypetiach sadystycznych zwierząt hodowlanych.

Wyłączył telewizory, poszedł do łazienki i wziął prysznic. Włożył pachnącą proszkami do prania koszulkę polo i dżinsy, trampki wsunął na gołe stopy, a potem wyszedł z mieszkania.

Dla Lebiody ubrana tylko w gorset i kabaretki śpiewaczka była zbyt manieryczna, prowokująca i wyuzdana. Już uwerwatura zepsuła mu spektakl, bo mieszanie konwencji, tak popularne i wychwalane przez krytyków – zwłaszcza młodego pokolenia, uważał za degenerującą operę, której powagę i patos kojarzył z niedostępnością i tajemnicą. Śpiewaczka zabijała w nim podniecenie. Wszystko na wierzchu... Co innego żona Lebiody, która w egzaltacji chwyciła go za rękę.

– Brawo! Brawo! – Alicja przyłączyła się do aplauzu.

Nie zaklaskał. Siedział podparty na łokciu. Wyszli po drugim bisie.